

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Paweł Huelle

WIERSZE

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

Bursztyn, wapno...

Znakiem już nie białym, zakurzone i szare,
Którego odprysk rozciera na spoconej ręce,
Zmieszane ze śliną, puszczone pęcherze,
Zaprawione wilgocią dłoni i języka –
Jest wapno dziwnym dlań fantomem
Tamtego domu, gdzie otwarte bramy
Są na południu kraju, pośrodku Galicji
Imion tak mrocznych jak Babka i Dziadek.

Tam chciałby umknąć w chorobę dzieciństwa:
W przeczysty akt poznania: W odgłosy wieczoru,
Zapach ziemi po deszczu, w rozmowę,
W odległy stuk pociągów, w pierwszy
Wytrysk nasienia gwałtowny jak burza,
W kwitnący pas irysów na krańcach posesji,
W huk deszczu sierpniowy, albo oddech
Schylonej cicho matki nad błękitem kołdry.

Wskrzesić te chwile – wie że niemożliwe,
Ani ocalić. Jakimże sposobem? Trzyma
Więc jasny żleb bursztynu w dłoni
Zamiast okruchu wapna: Popękane ściany,
Okna bez szyb i wywalone bramy do ogrodu –
Oto co widzi teraz w gąszczu chwastów
Oplątujących potrzaskane belki
Starego szybu. Strudzeni wiertacze
Nie odebrawszy ostatniej zapłaty
Odeszli milknąc. On widzi ich twarze
Zbrązowiałe od słońca i zapachu nafty,
Lecz nie wie gdzie są, gdzie ich szukać może,
Przez jakie portale przeszli. Śmierci,
Która muskając ich metamorfozą
Przemieni w życie nowe? Czyli też
Rozpaczy i zupełnego kresu: Tam
Zamiast łąki czarna jama ziemi
Otwiera szczelinę bezszelestnym skurczem.

Bursztyn podniósł spod buta. Wapno palcem zdrapał
Ze ściany willi (w Zoppot), w której nikt nie mieszka,
Bo jeszcze nie lato. Jeszcze zimne wiatry
Targają mu włosy. I czego chce więcej?
„To jest zwyczajne życie”. Tak mówią do niego.

Elegia

Kiedy w pniach sosen zamilkną korniki
On jest przy tobie, w chłodzie października,
Tam, gdzie zarzwały promień ślizga się do środka,
Badając ścieśnione lata jak źdźbła zeschniętej trawy.

Nie ma psów przy nim, trąbek i szczekania lisa,
Zgniłej czerwieni sukna, ciemność alei,
Z pajęczyn pleśni, z oparów wilgoci
Wysnuwa mu twą postać słony wiatr zatoki.

Nic się nie dzieje. Ojciec pośród żywych
Mówi o cenach zboża, koniecznej naprawie,
(Duch strzaskał szyby gdy szalała burza)
Trzeba więc wstawić deskę do starej pergoli.

Później coś o nadziei: Kobiety na blechu
Już naciągają płótno, nad nimi żurawie,
Po drzewach biegnie dźwięk spiżowych dzwonów,
Daleko stuka werbel kół lokomotywy.

Wszystko przecież zmyślone, bo nie było Karpat
Ani tamtego domu z szerokim tarasem:
Ojczyzna legła płotem w zakręcie ulicy,
Dokąd biegł oglądać zblakły szyld niemiecki.

Czółno zepchnięte w wodę, obca mowa chłopów,
Diabeł niosący kamień, ostry wrzask perkoza
W szaleństwie lata, obleczone kurzem,
Żłobiły pamięć kaszubskiej piosenki.

Teraz, wsparty o drzewo, śledzi myśl obłoków,
Liczy miedziane grodzie, ich lśniące kadłuby,
Wie, że nad miastem nie ujrzy anioła
Ani mężczyzny konno, w kryształach powietrza.

Jamę wykrotu i ukryte studnie
Przenosi tutaj, gdzie pochyła ścieżka
Biegnie ze wzgórza, wolno opadając
Na niewidzialne okna i blaszki paproci.

Więc nie muzyka, nie eksplozja gwiazdy
Będą mu zamykały obrót sfer niebieskich
W czas, kiedy płomień trawi czerwień liści
I wypala jęzorem czeluść korytarzy.

To drewna potrzask, czułości twej zdrada
Zamknięta w obręcz posepnej wilgoci
Toczy go jak choroba. Tysiące mil przejdzie
W koronie milczenia, do krwi gryząc usta
Tam, gdzie zardzały promień ślizga się do środka,
Tam, gdzie w pniach sosen ustaje drażnienie
I czas planety zdaje się umierać
Z gałęzią świerku powleczoną szronem.

Po takich epokach zostają wywalone bramy
I puste oczodoły okien, nic więcej, doprawdy,
Szczególnie na dworcach widzę dziadka Karola
W kraciastej marynarce z pękata walizką,
Obok zawszonej chłopki, na ławkach modlitwy
Słysząc tych co zbawieni. Nie widać Chrystusa,
A jednak wierzą. Pociągi ze Wschodu na Zachód
Przenoszą nowinę, a ojciec w nasieniu nosi mój załazek
I pije wódkę z rosyjskim lejtnantem,
Zanim wyruszy dalej, na jałową ziemię.

W jego snach tunele przejść podziemnych
Przypominają kościoły, puste hale fabryczne
Są geometryczną wizją pałaców, linie autostrad
Biegną do wnętrza gór, pamięta, co przed śmiercią
Mówiła jego babka – chodziłam, chodziłam,
Po obcym domu, jedne drzwi prowadziły do
Drugich a potem następne i tak ciągle,
Zanim nie obudził mnie lekarz.

Któregoś razu przeżył to samo w szkole:
Długie korytarze znikły, nie miały końca
Okna i drzwi do klas, żadnej przy tym
Muzyki czy podejrzanych głosów.

Przebudzony udziela dziwnych odpowiedzi,
Na przykład: Jestem w Zamku Świętego Anioła,
Albo: Zielone jabłuszko toczy się słysząc
Światło, później widzi jego drgające cząsteczki,
Daleko, daleko, w samym końcu rękawa.

Chłopiec tańczący reggae o świcie na plaży,
Mężczyzna, z którym sypiałaś, ten sam,
Który bawił Cię opowiadaniem anegdot
O pewnej damie z południa albo o samochodowej
Przejażdżce Romana Sanguszki, księcia,
Ten sam, dziesięć lat później, przerażony
Czerwienią dywanu, owalem secesyjnych stiuków,
Fryzem rzeźbionej poręczy fotela i każdym
Detalem pokoju z oknem od strony zatoki,
Ten sam mężczyzna pijący wódkę
W hotelowym pokoju, wykrzykujący
Błazeństwa w dziesięciu językach,
Przeklina teraz jasną zieleń liści,
Wezbrane wody rzeki i biel czystej kartki,
Po której biegnie mrówka faraona.

Tymczasem deszcz zmywa ślady Twoich stóp na piasku
I jak co roku przed świętami zapach wilgotnego drzewa
Miesza się z cynamonem, imbirem, muszkatem.

Jak niewiele trzeba nam było snu, pamiętasz,
Aby objawił się duch: Musnąć palcami ciało,
Strzepnąć słupek popiołu nagle z papierosa
I zaraz grała rytmiczna muzyka –
Zimą w małym pokoju pomiędzy szybami,
Latem na czubkach sosen, któreśmy
Oglądali z głowami w trawie, obserwując niebo:
„Biegnie chłopiec doliną w jasnym tyglu słońca,
Gdzie w stronę Oliwy płynie kręta rzeka,
Zieloną wyspą Opactwa Cystersów,
Skąd widać wieże i linie zatoki”.

Ale tam jest już miasto właściwie niemieckie,
Czerwone skosy dachów, drewno przybudówek
I wyblakła w pyłe żółć miodowych tynków,
W których dziesięcioletni zapisał to wszystko,
Także zapach jesieni, kiedy zgniłe liście
Wiatr pędził z cmentarza na moją ulicę,
W niekształtnym języku gotyckiej litery,
Skąd tylko skok był na przedmieście Langfuhr.

Król-Duch

Wyżej chłopięta, wyżej me dziecińcy,
Pucate cherubinki, różowe bobasy,
Czekają na was łączki, ruczaje, doliny,
Koniki złociste, jedwab i atłasy.

Gdy już będziecie – bladawe aniołki
Rączęta składać i mówić paciorek,
Ja powykręcę wasze kručze rączki
I cisnę jak kocięta w przepaścisty worek.

Potem będę wyrywać niewinne członeczki,
Wszystkie was pożrę, a wreszcie przetrawię,
Aż zrozumieją stroskane mateczki,
Co z Panem Bogiem jest zaczynać sprawę.

Tego roku nie byliśmy nad Atlantykiem,
Zapach ryb, chrzęst muszli – to wszystko
Pozostało na dnie szuflady obok cygar,
Skrawka papieru i miedzianej blaszki...

Jeśli naprawdę chcesz odpocząć,
Wybieraj deszcz zamiast komunikatów,
A moje dłonie wybierz
Zamiast kawałka czegoś dla czegoś i po coś.

Choć nie ma za oknem Sorakte
– Spójrz, małe wzgórze i właśnie
Teraz okryte pierwszym śniegiem.

Zapał papierosa, pomyśl, ile
Dachów na starym mieście
Przysypał ranny wiatr.

„My, Austriacy, mamy w sobie tę lekkość
Wiedeńskich poranków. Ponury Beethoven
To tylko chwila w naszej biografii, są przecież
Bałkańskie tańce, kawa po turecku,
Blichtr polskich panów, węgierska żywotność
I długie treny hrabianek z Galicji,
Kiedy przechodzą Prater, myśląc o Cesarzu...”

Ojciec nie lubi kłamstwa, przekleństw, alkoholu,
– Bądź czysty – mówi – tylko to nam zostaje,
Nawet jeśli nie wiara w Boga, synu,
Są momenty, kiedy światło przestaje być
Zwyczajnym blaskiem, miłość pożądaniem –
Są takie momenty w życiu każdego człowieka.

Nie przywiązuj się do niczego – mówi dziadek –
Bo to zwiększa cierpienie: rzeczy, miasta, ludzie
Odchodzą w przeszłość, będziesz kochał pustkę,
A taka straszna miłość niegodna człowieka.

Niedobrze jest być wygnańcem – mówi matka –
Obce dłonie podają szklankę herbaty
I wszystko niezrozumiałe jest, nawet Bóg
Troszczy się mniej o ciebie,
A każde łóżko pachnie innym człowiekiem.

Księdzu Markowi Wittbrotowi

Co mogłem opowiedzieć?
Historię wiecznie nieobecnych mężczyzn,
Przeegranych wojen, poronień w podróży,
Domów, które zmieniały właścicieli
Jak epoka krój sukien albo kapelusza.

I zawsze tak samo: Tu nawet kobiety
Podlegały cichemu prawu: O miłości mówi się
Szeptem, albo milczy, żeby nie kusić losu.

Mnie ocalała Babka Maria: Godzinami opowiadała
Jak piękne były ogrody, jaka uroda drzew...
Inni gonili na sportowe wiece,
Kupowali telewizory, grali w toto-lotka.

Zapomnieć. Odrzucić. Ojciec nad miarką wódki
Upiera się przy widmach, bije pięściami w skronie,
To musi mieć swoje granice – woła,
A matka jest umęczona. Nie wie co robić. Płacze.

Potem wnoszono meble i wynoszono,
Starzy ludzie umierali coraz częściej,
Dzieci bez adresu grały szkiełkiem w klasy,
Asfalt zastąpił bruki. Ktoś mówił o Bogu
Ale nie zawsze z największym uznaniem...

Trzaskały drzwi. Zawsze w tej samej bramie.

W Dolinie Abrahama spotykałem drwali,
Rzeźbiła mechaniczna piła, stukały siekiery,
Sosna padała obok dębu, na koniec olszyna
W strużkach tytoniowego dymu spływała w zarośla.

Błękitne ich bluzy, kraciaste koszule
Migały w gęstwinie liści, nachylali głowy,
Potem zaległa cisza, jedli chleb, pili wódkę,
W chłodnym powietrzu wrześnie, całkiem niewidzialni.

Ruda kita wiewiórki, ten skaczący płomień
Z drzewa na drzewo jest tylko zachwytem
Patrzacej nań dziewczynki, która jeszcze nie wie,
Jak odróżnić liść grabu od liścia kasztana
I pewnie znowu spóźni się do szkoły.

Lubię okręty z orzecha puszczane przez dzieci
W brudnej wodzie kałuży, szczególnie gdy słońce
Wychodzi zza chmur, tafla jest brązowa,
I wiatr niesie je prędko do drugiego brzegu.

Także stół, lampa i krzesło i zmięta koszula
Należą do tego świata. O tamtym myśli niewiele
Stojąc chwilami przy oknie: Dlaczego samochody
Przypominają mu rzekę, dlaczego światła bistra
Kojarzy z jazdą pociągiem i dlaczego
Boi się pustych korytarzy, zapachu świec
I białej kartki papieru leżącej na stole?

To

Być może jest za nami, idzie z tyłu,
Podąża krok w krok i słyhać to niczym
Kobiece obcasy, w pustej uliczce,
Wieczorem.

Może gdzieś powyżej, ale wtedy jest
Niewidzialne i tylko niektórzy mogą
Ujrzeć czasami światło.

Wówczas piszą traktaty albo milczą do śmierci
Z przerażenia. Niezwykłe muszą być takie chwile,
Niewyobrażalne wprost.

Dawniej byli tacy, którzy przez całe życie
Badali sprawę, tracili młodość, wzrok, majątek,
Ale też nie wiedzieli.

Od takich pytań można zwyczajnie oszaleć:
Jedyna pewność, to ta, że nie ma żadnej
Pociechy ani odpowiedzi.

Opactwo Cystersów – Oliwa

Żółte oczy clocharda śledziły uważnie
Schyloną postać, mógł być świt zaranny
Albo zmierzchania pora, zgiełk obcego miasta
Wkradał się w szelest kropel, wabiąc z odległości
Szare ławy kamienne i półkola kładek,
Które mijał powoli ponad taflą wody.

Długie łodzie patyków przybiły do brzegu
I fala brudnej wody kołysała tratwę:
Podobni groźnym bogom, w skóry obleczeni,
Nieśli na krzywych rogach krew, ogień i wojnę,
Tam, gdzie pogodne wzgórza i wieże katedry
Odbija zieleń stawu w kształcie jego twarzy.

Mrówka toczyła kamień. Przed szaleństwem miecza
Wyniósł ją prędko strumień i cisnąwszy w błoto
Dalej spływał do morza, męski but ze skóry
Stał się narzędziem losu, wyspą ocalenia,
Mógł być brata z Brzeźnicy, z La Ferte, z Morimond,
Przybyłego tu w sprawach sztuki sadowniczej
Zeszłego jeszcze lata, w czas obfitych zbiorów.

Przysiadł w cieniu wiązu. Aleje bukszpanu
Wiodły na pokuszenie pięć anielskich zmysłów,
Mnisi wzruszali ziemię, dżdżownice pod spodem
Czuły ich krew gorącą – stojąc umierali
Wsparci o trzonki szpadli, rydle i motyki,
Za jednym sztychem śmierci, ale nie od stali
Wykutej w zimnych fiordach północnej Norwegii.

Brązowy lak pieczęci zastygał zuchwale
W spojrzeniu opata, do Miasta posłaniec
Ruszył jeszcze przed świtem, gdzie dymiących mrowisk
Znaczą się żywe strupy na przesiekach puszczy,
I na południe wola wzrok wędrowca gwiazda
Przez gór posepnych mroczne krajobrazy, tam
Gdzie prawdziwe życie rodzi się chrześcijaństwa,
Rozkwita gałąź wiary, źródło stu ogrodów.

Teraz w cieniu spichlerza kluczyła procesja,
Onej szkielet przewodził z osinowym kołem,
Idąc tłukli powietrze, w odblasku pochodni
Tańczył między ogniami stary mąż brodaty,
Zagrały dzwony, w stuk dwustu kołatek
Wplątał się głos chrapliwy martwego przybysza:
Jako wygnani będą z krańców wszelkiej ziemi,
Jad smoczy wino ich, trucizna żmij okrutna!

Chłód drażył powietrze. Ciężko kute kraty
Wygnały wzrok clocharda i muszla ślimaka
Zamknięta w bryłce lodu, za bramą z żelaza
Świeciła nam jak gwiazda kryształem spirali
Na wszystkie świata strony. Zgiełk obcego miasta
Mieszał się z hukiem morza, nastał czas odwrotu,
Ścieśniały się wiązania, zwarły szczeliny,
Aż zamknął wszystko w cegle szary mur opactwa.

Moja Ojczyzna

W gorączce przemierzałem konno trzydzieści wiorst dziennie,
Wierzchowiec pokrywał się pianą, chrapami dotykając ziemi,
Thukłem go jeszcze harapem, w boki wbijałem ostrogi
I chłopskie pogrzeby przeskakiwałem jak rzeki mocnym
szarpnięciem strzemięcia,
Nie mając przy sobie szabli, pistoletu, strzelby.

We śnie przychodziła do mnie obrazem attyckiej kolumny
Strzaskanej uderzeniem piorunu, jej marmurowy pilaster
Leżał u stóp rozwalony w małe bryłki kamienne,
A ja krzyczałem budząc się w mokrej od potu pościeli
Nie pozwalałam!

Kiedy Ojciec Pafnucy sprowadził do domu trzech medyków,
Kazałem psy spuścić z łańcucha i hajduk Wasylko nabijał strzelbę,
I nawet gdyby Pan Bóg sam przyszedł wtedy do mnie –
Wygnałbym precz lub zażądał sprawy przed trybunałem historii.

Wreszcie umarłem, sądzili w okolicy, że od postradania zmysłów,
Biegałem wyjąc po pokojach w bieliźnie i z puginałem w dłoni,
Tymczasem ujrzałem ją na kształt wioskowej dziewczyny,
Tej, co ją gwałcili Moskale rok temu obok krzyża, tu, na rozstaju
dróg,

I krew uderzyła mi do głowy.

Metafizyka

Niosąc wiatr w twoich włosach
Przychodzi do mnie: Zimny, obojętny,
Widzę go właśnie, jak odszedł od stołu,
Na którym zostawił popiół z cygarniczki
I rozrzucone w nieładzie papiery
Obok porcelanowej figurki tancerki:

„Nie ma żadnej ojczyzny. I boli aż nadto
Żeby zrozumieć to słowo – zatrata,
Bardziej niżli smagnięcie nahajem w policzek
Albo bagnetu sztych w czasie potyczki.

Wiodę ją czasem pamiętnej jesieni
Poprzez aleje parku, przez marmur posągów
Poustawianych tutaj monarszym kaprysem,
W których odbija suknie barwą rdzawej miedzi.

Dwór nader wymyślny, król był krótkowidzem
I aby podziwiać płąsy francuskiej kokoty,
Na samą scenę przysunawszy fotel,
Dłonią bił brawo o dłoń, w atłas spowity.

Teraz, kiedy z nią idę w rzece zeschłych liści
Czaszkę tamtego, odartą z peruki
Czerw toczy i zamilkły brawa
W ostatnim krzyku zabranych prowincji.”

Pytaj, czy go ocali zeschły strup pamięci,
Kiedy odchodzi z białą warstwą pudru
Na obu policzkach, czy go nie zniechęci
Konterfekt własny na konopnym sznurze,
Który plebs, dotąd pokorny, zawiesiwszy woła
Jego imieniem: In effigie Szczęsny.

Artur S. albo ulica Polanki

Kończy się miasto i wysokie trawy rosna wyżej płotu,
Stare kobiety w ogrodach suszą wypraną bieliznę,
Dawno zmarli mężczyźni w zrujnowanych dworach
Wciąż myślą o przegranej wojnie, chodzą po pokojach,
Więc tak wygląda nicość – myślisz – jakbyś zeszej zimy
Kiedy opadły liście widział ze wzgórza zatokę
I światła cudzoziemskich parowców obojętne na wszystko
Napawały cię smutkiem i nieokreśloną tęsknotą,
Tymczasem znów jest lato i fruujące mrówki
Lądują na stole obok dzbanka z kawą,
Kiedy zapach żywicy, kiedy biel obrusu i złoty
Pasek wokół filiżanki nie obchodzą cię wcale
Podobnie jak córki sąsiadów hałasujące w ogrodzie
Z bolesną żądzą życia, z umiłowaniem wzrostu
Kipiącym w żyłach, w ich bursztynowych łonach,
Więc jednak wybieram smutek – myślisz –
Z jego kruchością konieczną, z chłodem morza,
Którego nie opisze gładkie wnętrze muszli
Przywieszonych z Królewca, ani nie wyrazi uścisk
Dziewicy żony matki kochanki czy prababki
W moim pustym pokoju przy tej przeklętej ulicy,
Kiedy wiatr porusza przezroczyste firanki,
I strach, bo tak już to będzie trwało aż do końca świata
I nic, nic się zmieni, a później tak samo...

Johan W.G.

Ubolewam, doprawdy, nad słabościami filologii –
Cóż bardziej niewłaściwego, od dociekań
Czy Faust umarł istotnie na stokach Schwarzwaldu,
Albo gdzie pierwiej studiował – w Krakowie czy Heildelbergu?

Prawdopodobnie nie napisał Hollenzwang
Ani też bywał na cesarskim dworze.
Strawiłem nad tym wiele dni i nocy –
Pozostał ból oczu i ogarki świec.

Jak on, zmierzałem do kresu wszelkiej sztuki
Wabiony nadzieją i dane mi było truchleć ze zgrozy:
Jeśli jest mądrość, to w ograniczeniu pytań,
Po tym poznaje się bowiem mistrza od młodzieńca.

Nie powiedziałem też, ile ukrywa się w rytmie,
Z którego powstaje duch, roztropniej było jednak
Zająć się słońcem Grecji, traktatem o barwach
I rozważaniem o harmonii bytu.

Fryderyk H.

Szaleństwem – mówili – jest dowodzić
Prawd ponad miarę ludzkiego rozumu:
Przekonywałem stolarza, że kropla na szybie
Mieści w sobie ocean, a ziarno żyta
Zawiera pełną chwałę Najwyższego.

Czasem Piękno, Miłość i Prawda
Obejmowały mnie nagle – wtedy skrzydła
Tłumiły stukot młotka i zastygałem
W bezruchu, żeby nie uronić Słowa.

Popatrz – krzyczała jego kobieta – znowu
Ten rarów stoi jak drewniany słup!
Więc wybiegałem z warsztatu zapisać,
Co powiedziały tamte głosy.

W 1812, kiedy Tybingę zasypał śnieg,
Trzymałem w dłoni zamarzną mrówkę
I po raz pierwszy od lat mogłem płakać
Wiedząc już, że nigdy nie ujrzę Aten.

Wolność – mówiłem do Zimmera
Jest sprawą kształtu powstającego z chaosu,
A potem wolno, uśmiechając się, strugałem deskę
Równymi pociągnięciami hebla, w zupełnym milczeniu.

Caspar David F.

Kto jest ten drugi nad brzegiem morza
W długiej opończy i staroniemieckim birecie,
Ten, stojący obok mnie w Sudetach –
Nigdy nie mogłem zapamiętać jego twarzy.

Pytałem, czemu świt tak jest podobny do zmierzchu
A jodły przy poświęcie są jeszcze ciemniejsze,
Skąd w nim zamięłowanie do skalnych rozpadlin,
Ruin kościołów i opustoszałych cmentarzy?

Raz, spotkałem go w lesie, kiedy oglądał
Rude korony drzew, cisza była tak wielka,
Że słyszałem komiki w mrocznych korytarzach –
Nagle mi zniknął i wtedy zobaczyłem strumień.

Tamtej nocy w pełni księżyca
Staliśmy obaj na przełęczy
I omal nie runąłem w dół
Na widok – w miejsce dwóch – jednego cienia.

Później, latami przyszło wspinać się na górę,
Która nie miała nazwy w jakimkolwiek z języków,
Mijać po drodze zamglone krajobrazy,
Aż oślepiło mnie promieniejące światło krzyża.

Georg Wilhelm Friedrich H.

Mówiliście – kiedy umiera człowiek, Bóg tego chce
I nie należy podnosić gniewu przeciw Jego woli,
Bo jest to nielogiczne. Pytałem dalej –
Co sądzić, jeśli umiera cały naród i tylko niektórzy
Z was odpowiadali prawidłowo. Inni kryli głowy
W ramionach, udawali, że coś notują, albo
Patrzyli przez okno na stuletnią sosnę,
Która wzrastała w cieniu uniwersytetu.

Zostańmy więc przy drzewie. Dziesiątki lat potężniało,
Pracowały w nim ziemia, deszcz, słońce i wiatry,
Nie jest przypadkiem, iż siekiera drwała
Dosięgnie go teraz i przemieni w drewno,
Z którego zrobią stół albo klepki parkietu,
Trociny ciskając w worek, a wióry do pieca.

Czymże jest duch kształtujący narody,
Jeśli nie ową siłą, która w ręku drwała,
W stolarza dłoni lub w dłucie artysty
Z tej samej sosny wydobywa kształty?

Jeśli mój język spuchnięty w gorączce
Odmawia mi posłuszeństwa i jeśli
Te słowa do was piszę rażony cholera,
Uczniowie moi, nie jest to bezrozumne.

Tak. Miałem dosyć czasu
Żeby raz jeszcze o wszystkim pomyśleć.

Henryk H.

Nie wierzyłem, że w tańczącym pudlu,
Z którego śmieje się uliczna gawieź,
Siedzi ukryty diabeł, nie przypuszczałem
Nawet, aby dobrotliwy piekarz
Stać się miał bohaterem historii,
Podobnie listonosz, rzeźnik, akuszerka,
Jakich pamiętam z ulicy dzieciństwa
Obok hilfs – policjanta i tajnego radcy.

Przyszłość narodu ujrzałem we
Wrzasku Nibelungów, w kopulacji
Karła z ropuchą, we śnie o robakach
Świętego Jana tysiącami spływającymi z gór,
Kiedy rozwinął się pęk i kwiat wytryska.

W listach z Poznania, Paryża, Londynu,
Szydłem z Prusaków i hanowerskich szlachciców,
Zamiast pakować kufry, zamiast przynaglać dyliżans,
Gdy czas syntezy kładł swój cień na drodze.

Spisałem też relację z gry Paganiniego
Dla pewnej damy spotkanej w hotelu:
Ja – Żyd wychrzczony, prawnik z wykształcenia,
Który lubiłem zbierać pieśni mego ludu.

James J.

Zapach browaru: Parujące wysłodki wywożone o świcie
Przez bramę zaprzęgiem perszeronów. To człap człap po bruku
Kiedy budzi się rzeka i dzwony nad Liffey
Wzywają na kolejne nabożeństwo ku czci ku pamięci
Bojowników o słuszną sprawę. Te rozmowy w pubach
O zerzniętej dziewicy która jest ojczyzną
I dawno nie miała okresu. Albo zepsute zęby spowiednika
Jak zapach zgniłych glonów, ten odór wieczności
Tam przy Martello Tower i cichy szelest kraba
Na kamiennej plaży tylko dla mężczyzn. Wyścigi. Wychodki.
Przedwcześnie pomarszczona skóra kobiet, ich woalki
Transparentujące na wietrze transparentne hasła odrodzenia
Przez cuda Matki Boskiej. I puszki dzyń dzyń po mszy
Zamiast elektrycznego tramwaju koło biblioteki,
A potem wychodzić z burdelu i zapinać spodnie:
Jakże ja miałem tego nie wyrzygać
Czystym strumieniem mojej świadomości?

Nur für Jude

Tak podobne do naszych snów a jednak
Niepodobne do niczego słupki kurzu wciąż opadające
Wydarte z ciemności nagłym promieniem światła
Załamane w witrażu szybie mieszkania
Soczewce okularu oknie pociągu te miliony
Wirujących drobin które chwytny
Jednym jedynym spojrzeniem szybszym
Niż myśl o nie istniejących duszach
Czym są te słupki gdy w rozpacz
Zamiast słuchać szelestu światła zamiast
Szukać słów modlitwy zamiast uciekać
Patrzemy porażeni ich metamorfozą
Nieuleczalną która tak zdumiewa
Czym są te słupki tak podobne
Do naszych snów a jednak niepodobne
Do niczego?

Pieśń nad pieśniami

Jak piękna jesteś przyjaciółko moja
W miasteczku, którego nikt już nie pamięta,
Nad rzeką, która dawno wyschła.

Wiatr przeniósł zapach twoich włosów
I brzoskwiniowy puszek skóry
Chłopcy roztarli w gniewie i gorczy.

Cedrowe belki domów, stropy cyprysowe
Nie były dla mnie – raczej śniedź mosiądzu
I liche płomień nie gasnącej świecy.
On jest pasterzem wypalonych pastwisk.
W jego domu osty i gniazda jaszczurek.

Nauzykaa

Ten chłopiec, ten mężczyzna
Przeżarty solą. Cuchnący iłem i rybami,
Ten sam przychodził do mnie kiedy gaszono światła
I zasypiała czujna straż w pałacu.

Mógł być następcą tronu. Moim mężem,
Kochankiem matki lub zabójcą ojca:
W jego nasieniu gorący żar wojny
Usprawiedliwiał każde rozwiązanie.

Czym była szorstkość jego dłoni
Tego nie powie żaden ajod, tego
Nie wyśpiewa najśłodszy nawet hymen:
Rozkosz twarda jak pocisk. Migotliwy
Błysk lampy w mrocznym namiocie Persefony.

Odpłynął. Jego wzorzysty peplos
Tulę do łona. Jego prześcieradła
Rozpinam na kształt skrzydeł i dotykam ustami.

Jak zimne są takie noce nie wiedzą nawet żeglarze,
Jaki okrutny kunszt nie rozumieją bogowie.

Pokoje

Każde drzwi budzą zdumienie
Że to nie tutaj. Dopiero nad ranem
Kiedy dopija butelkę wina i słyszy
Klaskanie bosych stóp po parkiecie
Dopiero kiedy widzi krzesło i koszulę
Którą powiesił parę lat temu
W lipcu albo sierpniu na tej samej
Poręczy, dopiero wówczas
Odprawi tę kobietę na zawsze
Ze swoich snów. Kiedy zobaczy
Włosy w barwie jasnej miedzi
Po tamtej stronie. Po tej widzi
Niewiele: Pokoje, puste pokoje

Lato

Leżeliśmy pod dębem
Ale tylko mucha brzęczała
W wysokiej po kolana trawie.

Przez kopułę liści, w samo południe
Wpadało światło. Ale żadnych znaków
Ani objawień.

Duchy, jeśli tańczyły, to w nas:
Dłoń obok dłoni. Splecione wargi
I języki.

Zamiast fujarek, korowodów, wstążek,
Hucząca jak lato muzyka krwi.

Każdej modlitwy byłoby za mało.

Magdalena

to był dom w Heliopolis całowałem twoje palce
na których pierścienie pył pszeniczny z oliwą zapach nardu
i jeszcze twarz posługaczki zapalającej miedzianą lampę
na papirusie zapisane twoje grzeszne imię

potem w cieniu bazyliki mniszki jak stalle z wosku
uwodziły mój wzrok czułem muzykę wieków i złote Bizancjum
grało na twój obojczyk polifonię tak czystą
że zawstydzony odjechałem dalej pod skrzydłem gołębic

w chłopskiej oberży nocą kupiłem twoje ciało
za kwartę wina kurwy rzezimieszki złodzieje handlarze relikwiami
żądali więcej ale powiedziałem że przybywam z daleka
i grałem z nimi w kości byłem lepszym oszustem
w nagrodę zapach siana pomiędzy coitus gdakanie kur
i jeszcze piwo które wniosła po drabinie karczmarka

nie pamiętam następnych wcieleń były jak odsłony
wstydlivych rozkoszy chłopca młodzieńca mężczyzny
na wydmach gdzieś koło Ausaras niedaleko Sambii
ujrzałem cię po raz ostatni w chłodnej zieleni morza
gdzie powiedziałaś dusza nie istnieje chociaż modlitwy
szepty gusła i zaklęcia są nam potrzebne do zbawienia ciała

nagle na wapnie muru czerni plamy twoich włosów
a może tylko sadza z parowozu
zmyliła wzrok myślałem o Galicji
moich prababek i kolejach sto lat temu
którymi nigdy nie jeździłaś myślałem że strugi deszczu
załomy cegieł wilgotne smugi twoich warg
całują tamten ślad w ciemności
nieznajomego domu
na przejeździe
torów